

Z mojej loży

665 Rola

Mówimy: reżyser. Mówimy: zespół. Dwie docelowe – od strony formy – drogi teatru. Nie jesteśmy ubodzy w świetnych reżyserów, choć nieraz z bólem wspominamy ubytek najświetniejszego z nich, Konrada Swinarskiego. Z zespołowością bywa gorzej, ale czyż w jednej tylko Warszawie nie zaznaczają się wyraziście dwa zespoły: ustabilizowany od lat zespół Teatru Współczesnego i coraz bardziej umacniający się zespół Teatru Powszechnego? Ku tej samej przystani wytrwale sterują: Ateneum i Dramatyczny, podczas gdy w Narodowym dominuje indywidualność reżyserska, a w Studio uformował się osobliwy, że tak powiem „teatr plastyczny”. Do tego poza Warszawą Teatr Stary czy Teatr Nowy, Teatr Wybrzeża czy Teatr Polski... Reżyser i zespół pięknie – ale gdzie miejsce dla aktora – solisty, który nie mniej niż twórczy reżyser czy zwarty zespół może nadawać ton przedstawieniu, kształtować je podług swej osobowości?

Aktorzy, wiemy, mieszkali czasy złote, po których następowały gorsze. Epoka gwiazd odeszła bezpowrotnie, czy jednak ze wszystkim, co ją cechowało? Na szczęście – nie ze wszystkim. Cokolwiek mówią niektórzy zakompleksiali teoretycy – aktor był, jest i pozostanie głównym ogniwem, duszą i sercem teatru. I kuleje, potyka się teatr, w którym dobra sztuka i mądry reżyser borykają się z miernym zespołem, pozbawionym bodaj jednego aktora, którego by można podziwiać.

Przeciętny ogół aktorów polskich poddawany bywa coraz surowszej krytyce, osądzany coraz ostrzej. Z radością natomiast obserwujemy, że urodzaj na aktorów przodujących jest w Polsce dobry i niezależny od kaprysów klimatu. I jest to jedna z ważnych przyczyn, dzięki którym nasze życie teatralne – działając na szybkich czy wolnych obrotach, miesząc sezony i okresy lepsze i gorsze – nie spada jednak w głębokie depresje, nie osiada na rozległych mieliznach. Nie ma epoki gwiazd, ale kogo z Warszawy teatralnej nie wzruszają w obecnych miesiącach kreacje Eichlerówny, Holoubka, Łomnickiego, Świderskiego, Pszonianka, paru innych aktorów i aktorek, których jeśli nie wymieniam to żeby nie układać prywatnej „listy gwiazd”. Ostatnio wpisała się na nią Zofia Kucówna. Rola Fedry.

Chyba głównie dla niej ta „Fedra” pojawiła się w Teatrze Małym. Bo Racine – czyli nieskazitelnym aleksandrynem wygłaszane tyrady na tematy wzniosłe – martwieje na scenie, jeżeli go nie wskrzesza moc sztuki aktorskiej, aktorskiego natchnienia. Pod skorupą umarłej konwencji wrą namietności, to wszyscy wiemy, ale jak je wydobyć spod płyt słów z marmuru, słów – kamieni grobowych, przygniatających żywych ludzi?

Wielcy aktorzy dokazują tej sztuki, ściślej mówiąc: aktorki, ponieważ teatr Racine’a to głównie teatr kobiet, Andromachy, Ifigenii, Agrypiny, Bereniki, Estery, Atalii... i Fedry, tej mitycznej królowej z Peloponezu, która pokochała namietnie swego pasierba i udusiła się w oparach nieudolnej miłości.

Dwie współczesne nam polskie aktorki sięgnęły po rolę Fedry, Jaroszevska i Eichlerówna. Irena Eichler w roli Fedry – czasy już powojenne, niezbyt dawne. Fedra Eichlerówny była zaskakująca, zaśpiewna, jakby rozkojarzona, prawie historyczna. Budziła u wielu sprzeciw, ale czy Fedra Racine’a, opętana swą miłością, idąca ku samozgubie, nie jest odpychająca? Gdy z kolei Kucówna sięgnęła po rolę tragicznej Fedry, Adam Hanuszkiewicz utrudnił jej zadanie, oprawiając tę Fedrę w bezruch i sztywne dostojenie jej otoczenia, w tym statycznie podawanym słowie widząc główny, poza rolą Fedry, element przedstawienia. Głos tylko i mimika twarzy mają uzewnętrzniać splot burzliwych uczuć, jedynie młodocianej Arycji (Grażyna Szapołowska) użyć wolno liryzmowi słów ruchu, falowania rozpuszczonych włosów. Fedra w białym peplum, z zawojem na głowie jest skazana tylko na brzmienie słów, błysk oczu, biel zębów odsłanianych w gorzkim, urągliwym śmiechu.

Wśród tych ograniczonych i oszczędnych środków aktorskiej ekspresji porusza się Kucówna z siłą kobiety, nawiedzonej rozszalałym uczuciem. I tonacja jej słów rozbija statyczność postaci, pulsuje krwią w wersach, zbliżonych celnie naszemu uchu przez Artura Międzyrzeckiego. Ale gdy Fedry i po części Tezeusza (Henryk Machalica) nie staje, gdy wrzaca namietność ustępuje miejsca wyzębionej retoryce, umarła konwencja zwycięża i nie bez trudu wsłuchujemy się w namaszczone zdania tej klasycystycznej tragedii.

Tak więc to jest: gdyby nie Kucówna, która spod pancerza słów umie ukazać kobietę porywczą, urzeczoną, nawet trochę wiedzmę – przedstawienie zapadłoby w rapsodyczną drzemkę, podług modelu byłego krakowskiego teatru Rapsodycznego.

IASZCZ